

Wbrew oczekiwaniom w nowym miejscu spało mi się nad wyraz dobrze, czego najlepszym dowodem było to, że obudziłem się dopiero o dziesiątej rano. Idąc do łazienki, usłyszałem głośne rozmowy dobiegające z saloniku. Wyglądało na to, że oprócz mnie wszyscy już dawno wstali, więc żeby nie przeciągać struny, skróciłem poranną toaletę do niezbędnego minimum.

W kuchni nie było już nikogo, ale za to czekały na mnie ciepłe naleśniki z syropem klonowym. Ucieszyłem się na ich widok, tym bardziej że wczoraj była mowa tylko o noclegu. Spodziewałem się, że opuścimy budynek na czczo, a śniadanie zjemy w łodzi. Dzień zaczął się zatem od miłej niespodzianki.

Naleśniki były niczego sobie, chociaż z drugiej strony nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że były idealnym przykładem tego, jak Amerykanie potrafią spieprzyć niemal każdy pomysł na smaczny posiłek. W polskim domu naleśniki byłyby pulchne i żółciutki, usmażone ze świeżych kurzych jaj oraz mleka, tutaj natomiast były cienkie, szare i bezzębowe, w dodatku polane przesłodzonym syropem.

Oczywiście byłem bardzo wdzięczny gospodarzom za gościnę oraz za to, że nie wypuścili nas z pustymi żołądkami. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego tak wielu Amerykanów nie traktuje kuchni jako

przestrzeni dla sztuki kulinarnej, a do jedzenia podchodzi jak do zła koniecznego, któremu nie powinno się poświęcać zbyt wiele cennego czasu.

Najwyraźniej dobre, polskie jedzenie, do którego przyzwyczała mnie mama, już tak przewróciło mi w głowie, że chyba nawet najlepsze amerykańskie frykasy nie byłyby w stanie zrobić na mnie większego wrażenia. Szybko dopiłem gorącą herbatę, po czym zabrałem swoje rzeczy i poszedłem nad Jukon odszukać Jonathana.

Po nabrzeżu kręciło się kilkanaście osób, głównie Indian, którzy majstrowali coś przy swoich łodziach. Nielicznych białych można było policzyć dosłownie na palcach jednej ręki. Wyglądało na to, że wszyscy przygotowywali się do wypłynięcia na rzekę.

Pomogłem Jonathnowi uzupełnić zapasy paliwa w łodzi, po czym obaj usiedliśmy na brzegu Jukonu w oczekiwaniu na dwójkę naukowców, którzy wkrótce mieli do nas dołączyć. Z braku innych zajęć zacząłem się dyskretnie przypatrywać mieszkańcom Tanany, którzy jak co dzień krzątali się nad rzeką.

Odniosłem wrażenie, że północna Alaska



Kościół w Tananie — oficjalnie większość mieszkańców doliny Jukonu to ewangelicy

to miejsce, które niczym magnes przyciąga do siebie ludzi surowych w obyciu, o specyficznym wyglądzie i zachowaniu. Tacy trochę twardele mocno stąpający po ziemi i równocześnie romantycy zakochani w dziczy oraz nieograniczonej przestrzeni wokół siebie.

Dla nich najwyższą wartością nie jest pieniądz, bogactwo czy kariera, ale niczym nieskrępowana wolność. Jestem pewien, że zdecydowana większość z nich świadomie porzuciła cywilizację, a następnie zamieszkała w alaskańskiej głuszy, żeby móc żyć we własnym tempie z dala od miejskiego zgiełku oraz blisko pierwotnej Natury.

Z obserwacji wyrwał mnie widok dużej półciężarówki, która nagle pojawiła się na drodze biegnącej z centrum wioski. Pick-up sunął w naszym kierunku w tumanach kurzu unoszącego się z szutrowej drogi, a jego wysoka paka była wypchana różnymi pakunkami aż po same brzegi.

Chwilę potem samochód zatrzymał się w pobliżu naszej łodzi, a z jego wnętrza wysiadły trzy osoby, w tym kierowca oraz długo oczekiwana przez nas para naukowców — doktor Daniel Bogan z Uniwersytetu Stanowego w Anchorage oraz jego asystentka Alisa Vislova.

Daniel okazał się sympatycznym i energicznym mężczyzną po pięćdziesiątce, doświadczonym terenowcem, dla którego wyprawa po Jukonie była po prostu kolejnym projektem. Zupełnie inaczej zachowywała się Alisa, po której widać było ogromne podekscytowanie i żądę przygód.

Jako studentka odbywała letni staż na uniwersytecie w Anchorage, miała dopiero dziewiętnaście lat, z pochodzenia była Rosjanką i na stałe mieszkała w Minneapolis — półmilionowym mieście położonym w stanie Minnesota.

Naukowcy przywieźli ze sobą kilkaset kilogramów sprzętu, bagaży oraz żywności, zapakowanych w skrzynie, różnej wielkości plastikowe pojemniki oraz wielkie, nieprzemakalne torby. Razem z Jonathanem

pomogliśmy im poukładać to wszystko we wnętrzu kabiny oraz w bocznych schowkach. Wbrew pozorom nie było to wcale łatwe zadanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę niewielkie gabaryty łodzi oraz ogromne apetyty fruujących wokół nas moskitów.

W trakcie przenoszenia ekwipunku Daniel wyjaśnił nam, na czym tak naprawdę będzie polegała ta dwutygodniowa wyprawa po Jukonie. Mianowicie mieliśmy uczestniczyć w ogólnokrajowych badaniach naukowych zleconych przez amerykańską Agencję Ochrony Środowiska (The Environmental Protection Agency), których zasadniczym celem była ocena aktualnego stanu ekologicznego największej rzeki Alaski.

Ponieważ Jukon jest ogromnym ciekim, nie sposób było przebadać go w całości, dlatego wybrano odcinek w środkowym biegu, który według uczonych można było uznać za reprezentatywny dla całej rzeki. Odcinek ten rozciągał się pomiędzy osadami Tanana oraz Kaltag i miał czterysta kilometrów długości.

Zgodnie z planem mieliśmy wykonać badania w prawie trzystu punktach pomiarowych (po dwadzieścia każdego dnia), oddalonych od siebie o półtora kilometra. W ramach pomiarów w każdym stanowisku należało pobrać próbki osadów dennych w strefie przybrzeżnej rzeki oraz próbki wody do oznaczeń enterokoków, które są wskaźnikiem zanieczyszczenia wód powierzchniowych ściekami bytowymi.

Za pomocą specjalnej siatki musieliśmy też pobrać do jednorazowego pojemnika pewną ilość wodnych bezkręgowców żyjących w Jukonie. Poza tym należało dokładnie sfotografować badany brzeg rzeki, opisać jego morfologię, scharakteryzować występującą na nim roślinność, wyodrębnić podstawowe składniki mineralne podłoża, oznaczyć napotkane tropy zwierząt oraz spenetrować najbliższą okolicę pod kątem obecności odpadów lub innych zanieczyszczeń antropogenicznych.

W tym samym czasie, kiedy my mieliśmy pływać po Jukonie, analogiczne badania prowadzone były w całych Stanach Zjednoczonych,

na większości tamtejszych rzek. Ze względu na to, że alaskańskie rzeki są naturalne i niemal całkowicie pozbawione zanieczyszczeń antropogenicznych, do badań wytypowano wyłącznie Jukon jako ciek wskaźnikowy dla całego stanu.

Po blisko dwóch godzinach dźwigania ciężarów oraz umiejętnym upychaniu ich na pokładzie wewnątrz łodzi zostało tak dokładnie zagospodarowane, że ledwie znalazła się odrobina miejsca dla naszej czwórki. O swobodnym przemieszczaniu się z jednego końca łódki na drugi można było zapomnieć.

W końcu odpiąłem cumę mocującą łódź do nabrzeża, po czym Jukon porwał nas i poniósł z biegiem nurtu. Gdy znaleźliśmy się kilkanaście metrów od brzegu, Jonathan odpalił silnik. Honda cicho zawarczała, a my ruszyliśmy w dół rzeki w kierunku pierwszego punktu pomiarowego. Za naszymi plecami powoli oddalały się niskie zabudowania Tanany, natomiast przed nami rozciągała się piękna panorama rozlewisk środkowego Jukonu. Ten dzień nie był już tak pogodny jak wczoraj. Było parno i duszno, a niebo się zachmurzyło. Zapowiadało się na wieczorną burzę.

Na miejsce dotarliśmy bardzo szybko. Tym razem Daniel wykonał wszystkie badania samodzielnie, pokazując nam, na czym one w praktyce polegały, tak więc moja rola została początkowo sprowadzona do cumowania łodzi, fotografowania terenu i obserwacji poczynąń pana doktora.

Na barki Alisy spadł obowiązek prowadzenia dokumentacji badawczej. Była to typowa „praca papierkowa”, tyle że wykonywana nie z za biurka, ale z pokładu łodzi. Polegała na tym, że w każdym punkcie pomiarowym należało wypełnić szczegółowymi danymi kilkustronicowy formularz. Zebrane z całego badanego odcinka rzeki formularze miały potem posłużyć do stworzenia dokładnej charakterystyki hydromorfologicznej Jukonu.

Wykonanie badań w pierwszym punkcie pomiarowym zajęło aż pół godziny, ale z każdym kolejnym stanowiskiem szło nam coraz lepiej. W miarę upływu czasu opanowywałem kolejne czynności, odciążając w ten sposób Daniela od części jego obowiązków. Dzięki temu wieczorem, gdy kończyliśmy już ostatni punkt pomiarowy, wszystkie badania zajęły nam mniej niż dwadzieścia minut.

Pomimo duchoty w powietrzu na pokładzie naszej małej łupinki panował świetny nastrój, a praca wręcz paliła nam się w rękach. Spływając w dół Jukonu, co jakiś czas dobijaliśmy do brzegu, by potem przez kwadrans myszkować po okolicy w sobie tylko wiadomym celu. Badania terenowe były bardzo pouczające, choć dla osoby postronnej mogły się wydawać dosyć monotonne.

Prowadzenie naszych ambitnych pomiarów skutecznie utrudniały niesprzyjające warunki naturalne, na które często trafialiśmy, płynąc Jukonem. Prym wiodły tutaj oczywiście moskity, których w dolinie były wręcz nieprzebrane ilości.

Co prawda, ze względu na wiejącą od wody bryzę, wredne owady trzymały się z dala od koryta rzecznego, ale gdy tylko zbliżaliśmy się do brzegu porośniętego lasem lub zaroślami, momentalnie wylatywał w naszym kierunku specjalny komitet powitalny. Każdy taki komitet składał się z tysięcy krwiożerczych owadów, których jedynym sensem życia było upuszczenie odrobiny życiodajnego płynu z naszych układów krwionośnych.

W praktyce wyglądało to tak, jakby z nieba opadała mała, czarna chmura burzowa, z której zamiast kropli deszczu zlatywały na nas setki ukąszeń. Trudno było to wytrzymać, nie mówiąc o komfortowej pracy.

Żeby nie zwariować, rozłożyłem na pokładzie moskitierę, którą nasaczyłem substancją chemiczną o skomplikowanej nazwie N,N-dietylo-m-toluamid (w skrócie DEET). Na południu Alaski w zupełności wystarczyło, gdy stosowałem spray zawierający od dwudziestu do



Początek wyprawy badawczej. Na takiej łupince mieliśmy w czwórkę spędzić dwa tygodnie, pływając po Jukonie w głębi dziczy (fot. Daniel Bogan)

czterdziestu procent tej substancji, ale tu, na Dalekiej Północy, w głębi alaskańskiego buszu, takie stężenia nic nie dawały.

Tutaj potrzebne było coś mocniejszego, ponieważ kwadrans po opryskaniu ubrania aerozolem kupionym w markecie moskity wbijały się w moją skórę jakby nigdy nic. Na szczęście Karin przewidziała taką sytuację i kilka dni wcześniej podarowała mi małą, niepozorną buteleczkę, która zawierała silnie stężone DEET (roztwór dziewięćdziesięcioośmioprocentowy). Substancja była półprzezroczysta, o specyficznym zapachu oraz konsystencji oleju rzepakowego.

Wysoka dawka syntetycznych chemikaliów byłaby zabójcza, gdybym spróbował zastosować ją wprost na gołą skórę, ale rozproszona na moskitierze świetnie spełniała swoje zadanie i chroniła mnie przed większością ukąszeń. Jeden porządny oprysk takim stężonym roztworem zapewniał względną ochronę przez prawie całą dobę.

Gdy już dałem sobie radę z natrętymi moskitami, okazało się, że sam Jukon przygotował dla nas kilka ciekawych niespodzianek. W nurcie rzeki co pewien czas pojawiały się kłody drzew, a ponieważ zderzenie z nimi absolutnie nie leżało w naszym interesie, Jonathan cały czas czujnie obserwował taflę mętnej wody, wypatrując w niej podejrzanych zawirowań lub zmarszczek na powierzchni.

Mimo dużego doświadczenia oraz sokołego wzroku niejednokrotnie zmuszony był wykonywać gwałtowne manewry wymijające, gdy dosłownie w ostatniej chwili — kilka lub kilkanaście metrów przed łodzią — dostrzegł przeszkody znajdujące się na trasie naszej wyprawy.

Raz nawet minęliśmy płynące zwłoki młodego losia, który naj-



Daniel próbuje się wydostać z grząskiego mułu

wyraźniej nie zdążył nabrać do Jukonu należytego respektu. Truchło śmierdziało okrutnie już z odległości kilkudziesięciu metrów, a z bliska wyglądało tak paskudnie, że aż wzięło mnie na wymioty. Najwyraźniej łoś moczył się w rzece już od dłuższego czasu.

Niektóre fragmenty brzegu Jukonu pokrywał grząski muł, który parokrotnie dał się nam mocno we znaki. Z pokładu łodzi ten ciemnoszary, lśniący w słońcu osad rzeczny wyglądał na godny zaufania, stabilny grunt, ale po wyskoczeniu na brzeg człowiek od razu zapadał się w nim prawie po kolana.

Gdy tylko zaczął się szamotać, próbując się wyrwać z matni, tracił równowagę, przewracał się na plecy albo zapadał jeszcze głębiej. Bardzo często w ten właśnie sposób giną nad Jukonem młode, niedoświadczone łosie, które nie potrafią się wydostać z błotnistej pułapki o własnych siłach.

Z powodu upału i duchoty przez cały dzień męczyło mnie silne pragnienie, ale chociaż piłem dużo wody, za nic w świecie nie udało mi się go ugasić. Całodzienna praca w takich warunkach nie należała do najłatwiejszych, ale dla kogoś, kto zamiast dogorywać za biurkiem, lubi pracować w terenie, warta była każdej napotkanej trudności.

Wieczorem nadeszła pora na znalezienie odpowiedniego miejsca, w którym mogliśmy założyć obóz oraz bezpiecznie i w miarę wygodnie przenocować. Wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że rozbijanie namiotów na stałym lądzie w ogóle nie wchodziło w rachubę.

W ciągu dnia bowiem natrafiliśmy wzdłuż brzegów rzeki na tak duże liczby świeżych tropów niedźwiedzi oraz wilków, że gdybyśmy zostali tam na noc, najprawdopodobniej nasza ekipa nie przetrwałaby do świtu w pełnym składzie. I zupełnie nie miało to znaczenia, czy odwiedziłyby nas pojedynczy duży niedźwiedź, czy też wataha wilków.

Tę część doliny Jukonu zamieszkiwało kilkadziesiąt baribali i grizzly oraz od trzystu do czterystu wilków, przy czym przeciętne wilcze stado

składało się z siedmiu, dziesięciu osobników. Największa wataha, jaką zaobserwowano w granicach parków Koyukuk i Nowitna, liczyła dziewiętnaście osobników. Warto podkreślić, że tutejsze wilki są tak duże, iż w porównaniu z nimi owczarki niemieckie wyglądają po prostu jak niegroźne, podrośnięte kundelki.

Po krótkiej naradzie przybiliśmy do dużej wyspy położonej pośrodku koryta Jukonu. Wyskoczyłem na brzeg i przywiązałem cumę do wielkiego pnia leżącego na plaży, po czym rozejrzałem się po najbliższej okolicy.

Wysepka była niemal idealnie płaska i choć jej brzegi pokrywał głównie drobny żwir, znalazłem kilka większych łach suchego piasku, świetnie nadających się na biwak. Zaniosem tam część bagaży, po czym wraz z Alisą zabraliśmy się do rozbijania namiotów, po jednym dla każdego z uczestników ekspedycji.

W tym czasie Jonathan zajął się przyrządzaniem ciepłej obiadokolacji, a Daniel majstrował coś przy łodzi, próbując odpalić generator prądu. W naturalny sposób, zgodnie z własnymi predyspozycjami i możliwościami, podzieliliśmy się obowiązkami, choć niczego wcześniej nie ustalaliśmy.

Godzinę później kolacja była już gotowa, więc razem z Jonathanem usiedliśmy do posiłku jako pierwsi. Daniel i Alisa dołączyli do nas chwilę później, gdy skończyli czasochłonne filtrowanie próbek wody. Po całym dniu pracy byłem głodny niczym wilk.

Jak na biwak rozbity w środku alaskańskiego buszu, posiłek był obfity, a jedzenie bardzo mi smakowało. Zjadłem gotowany ryż z farszem warzywnym, owoce z puszki (brzoskwinie, jabłka i pomarańcze) oraz chleb z białym serem typu fromage. Tak się najadłem, że ledwie mogłem się ruszyć z krzesła.

Generalnie unikam obżarstwa, ale tego dnia byłem bardzo zadowolony z pełnego żołądka, bo jeżeli przed wyruszeniem w tę podróż

czegokolwiek się obawiałem, to z pewnością fatalnej diety opartej na amerykańskim, przemysłowym żarciu albo na chińskich zupkach o podejrzanym składzie.

Po posiłku Alisa i ja zaparzyliśmy sobie herbatę, natomiast Daniel z Jonathanem otworzyli butelkę whisky. Siedzieliśmy tak nad rzeką dobre dwie godziny, rozmawiając ze sobą i delektując się wszechobecnym spokojem.

Za naszymi plecami, w oddali, rósł potężny, ciemnozielony bór świerkowy, a przed nami wolno zachodzące słońce odbijało się w beżowej tafli cicho szumiącego Jukonu. To był cudowny wieczór, jeden z tych, które pamięta się potem przez wiele lat, a czasami nawet przez całe życie.

Okazało się, że Alisa i ja przeżywamy ten sam dylemat moralny związany z życiem w głębi dziczy oraz wynikającej z tego konieczności polowania na zwierzęta. Z jednej strony trzeba jeść mięso, przynajmniej od czasu do czasu, a z drugiej strony nikt z nas nie chce brać udziału w zabijaniu żywych stworzeń. Taki sobie dysonans poznawczy młodych idealistów.

Daniel przysłuchiwał się naszym dyskusjom z pobłażaniem, natomiast Jonathan nie wytrzymał i bez ogródek wypalił, że nikt normalny, kto mieszka w głębi Alaski, nie ma takich dylematów. Mało tego, tutaj dorośli mężczyźni często zabierają na polowania swoje kilkunastoletnie dzieci, aby przyzwyczaić je do widoku broni i krwi.

No cóż. Widocznie nie jestem „normalnym” człowiekiem, skoro mimo upływających lat zabicie żywego stworzenia, wypatroszenie go, babranie się przy tym w jego krwi oraz wnętrznościach wciąż stanowi dla mnie problem. Ciężko jest mi potem żyć ze świadomością, że jeszcze chwilę wcześniej to piękne stworzenie wesoło hasało po łąkach i lasach, a teraz leży przede mną martwe, z matowym wzrokiem. Dlatego nigdy nie zrozumieję myśliwych, którzy czerpią przyjemność z zabijania zwierząt.



Tuż po północy powoli zaczęło się ściemniać. Zostawiliśmy wszystkie nasze kłamoty tak jak leżały, umyliśmy tylko zęby, po czym każdy poszedł do swojego namiotu wypaść się po męczącym, ale ciekawym i pracowicie spędzonym dniu.

* * *

Pierwsza noc pod chmurką minęła bez większych niespodzianek, choć nie powiem, że spałem dobrze. Kilka razy budziłem się z niewiadomych powodów, czując dziwny niepokój. Wygramoliłem się ze śpiwora dopiero wtedy, gdy słońce było na niebie na tyle wysoko, że w środku namiotu nie dało się już wytrzymać z powodu duchoty.

Na zewnątrz spotkałem budzącego się do życia Daniela, którego niewyraźna mina dobitnie świadczyła o tym, że tej nocy nie tylko ja



Każdego popołudnia rozbijaliśmy obozowisko, które ze względu na niedźwiedzie zawsze musiało być położone na jednej z wysp pośrodku rzeki

spałem kiepsko. Porwałem saszetkę z przyborami toaletowymi, po czym podreptałem na bosaka nad rzekę.

Zapowiadał się przepiękny dzień. Idealnie błękitne niebo było pozbawione większych obłoków chmur, a słońce mocno grzało już od samego rana. Gdy odszedłem od obozowiska i stanąłem nad brzegiem Jukonu, na moment znieruchomiałem, wsłuchując się w idealną ciszę i spokój wokół mnie.

Z wyjątkiem trójki moich towarzyszy w zasięgu wzroku nie tylko nie było żadnych innych ludzi, ale nawet najdrobniejszych nawet śladów ludzkiej egzystencji. Nic tylko szumiąca, leniwie płynąca rzeka oraz borealny las iglasty, mieniący się różnymi odcieniami zieleni.